

Hh 125 319

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA
SZKOŁY LUDOWEJ

W pięćdziesiątą rocznicę powstania
styczniowego

JAN NEPOMUCEN RAYSKI

SPOŁEM I ZGODĄ
KARTKA Z POWSTANIA 1863/4 R.

Z REKOPISU WYDAŁ I WSTĘPEM OPATRYŁ
ALEKSANDER MEDYNSKI



NAKLADEM TOWARZYSTWA SZKOŁY
LUDOWEJ, KRAKÓW 1913 R.



Jan Nepomucen Korab-Rayski

adjutant generała Mierosławskiego

uczestnik powstania z r. 1863/4., emigrant, ur. 15. maja 1831. r., um. 19. sierpnia 1911. pochowany na cmentarzu w Montmorency w Paryżu.

JAN NĚPŮMUCĚN ŘAYSKI

SPOŁEM I ZGODĄ

KARTA Z POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Z RĘKOPISU WYDAŁ I WSTĘPEM ZAOPATRZYŁ
ALEKSANDER MEDYŃSKI



KRAKÓW 1913

NAKŁADEM ZARZĄDU GŁÓWNEGO T. S. L.
DRUKIEM W. POTURALSKIEGO W PODGÓRZU.

K-32/91



125319

✓

PRZEDMOWA.

Zdała od ziemi ojczystej, którą nad życie ukochał, zgasł w dniu 19 sierpnia 1911 r. w Paryżu w 81 roku życia Jan Nepomucen Korab Rayski, emigrant z r. 1863., adjutant generała Mierosławskiego i spoczął w trzy dni później na cmentarzu w Montmorency, gdzie wśród grobów polskich na obczyźnie nowa wyrosła mogiła. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzała go rzesza rodaków z emigracyi i wielu Francuzów, wśród których cieszył się ogromną i zasłużoną sympatją. Wieść o śmierci Rayskiego nie odezwała się szerszem echem po ziemi polskiej i nie znalazła na niej tego oddźwięku, na jaki zasługiwała ta pełna szlachetnych i zacnych rysów postać Mierosławczyka.

Rayski* urodził się w dniu 15 maja 1831 r. na kilka dni przed ostrołęcką rozprawą, w której

* Życiorys osnuty w części z materiału rękopiśmiennego, pozostałego po śp. Rayskim i z jego korespondencji z L. Krzemienieckim, w części wyjęty z artykułu, pomieszczonego w „Dzienniku dla wszystkich“ (1884) pióra jednego z jego przyjaciół. (L. F.).

ojciec jego Teodor czynny brał udział. Wychowywał się w pięknej tradycji rodzinnej, nawiązanej do walnych zwycięstw napoleońskich, o których młodemu chłopcu w ciche wieczory zimowe przy staroświeckim kominku wiele gwarzył ojciec, oficer ułanów z owej złudnej epoki. W tej atmosferze górnej wzrastał Jan Rayski a oddany z czasem do gimnazjum w Kaliszu, nie ukończył studiów, przerwanych przez wojnę, do której partgo odziedziczony po przodkach zapął dla sprawy i animusz rycerski.

W r. 1848 przeszedł granicę i zaciągnął się w szeregi Mierosławskiego, walczył pod jego dowództwem, a gdy usiłowania owej kampanii spełzły na niczem, powrócił w progi ojcowskiego domu, unosząc w swem sercu dla generała szacunek, który w późniejszych latach na emigracji w Paryżu jeszcze bardziej się pogłębił, łącząc obu węzłami szczerzej i gorącej, obopólnej przyjaźni.

Przerwane poprzednio studia ukończył po powrocie i już w r. 1852 złożył egzamin na geometrę przysięgłego klasy pierwszej w Wydziale dóbr i lasów koronnych, a w kilka lat później wyższy egzamin, z uprawnieniem do służby rządowej i praktyki prywatnej. Na tem stanowisku zyskał sobie Rayski sympatyę ogólną i szerokie uznanie. O czasach tych mówi we wstępie do swych wspomnień z powstania styczniowego temi słowy: „Byłem szczęśliwym w przeprowadzaniu

rozmaitych spraw między dworem a włościanstwem i to w tym stopniu, że najzawilsze i najtrudniejsze sprawy między dworami a gromadami bywały mi powierzane. Z zacnymi naszymi włościanami umiałem się wzajemnie porozumieć, przekonywać i wpływać na nich i zawsze udawało mi się doprowadzić do obopólnej zgody, wobec tego nie dziw, że mi we wszystkim ufano i przystawano chętnie na moje projekty...”

Z czasem przeniósł się Rayski w inne strony ziem polskich i wydzierżawił na lat 12 dobra Studzianki pod Kraśnikiem, w Lubelskiem, składające się z większej włości i pięciu folwarków. Z córką właściciela owego majątku, p. Janiną z Chobrzyńskich Moreau ożenił się niebawem, nabywając wówczas od teścia dobra te za cenę znacznie wyższą od umówionej.

Rozpoczęła się w ten sposób praca na roli, prowadzona wzorowo i umiejętnie, przyczem Rayski nie zaniedbywał wcale swego zawodu, jedynającego mu szerokie koła klienteli. Nabyta majątność liczyła 127 rodzin włościańskich, które nowy tych dóbr właściciel do tego stopnia umiał oświecić i dla sprawy narodowej pozyskać, iż kilkuset włościan, tak ze Studzianek, jak i okolicznych folwarków rzetelne usługi oddawało dla niej, czy w pracach organizacyjnych przedpowstańczych, czy też na polu zbrojnej z wrogiem rozprawy. Serdeczne wspomnienia poświęca Rayski tym zacnym typom

włościan obywateli, ludzi tak twardo sprawie narodowej oddanych, do których wśród innych należał Maciej Mihut, Andrzej Kot, Maciej Komajda, Studzianieccy, a z sąsiadów najbliższych Sobek Mróz, zacny Paweł Parada, którego hasło bojowe na polu walki: „Społem i zgodą“ tworzy tytuł pamiętnika Rayskiego z powstania na następnych kartach z rękopisu wydanego. W organizacyi przedpowstańczej dzielni ci włościanie z wielkiem dla sprawy oddaniem się pełnili obowiązki „setników“, gotowi zawsze do największych dla niej ofiar. Wśród ludzi „dworskich“ byli też tamtym podobni: woźnica Józef Bylicki z Kocka, brat jego Jan, starszy służyący, parobczak Wawrzek Kozica, wielu również rzemieślników z okolicznych miasteczek Kraśnika, Turobina, Szczebrzeszyna i Żółkiewki, oddawało się całą duszą pracy organizacyjnej.

Wypadki z r. 1863 zastały Rayskiego na szerokiej pracy obywatelskiej wśród ludu i sfer mieszczańskich w Studziankach i w ich najbliższej okolicy. W przededniu wybuchu powstania styczniowego wszedł on jako członek Towarzystwa Rolniczego w wir wypadków i manifestacyi marcowych i kwietniowych z r. 1861, w których niejedno głębsze przejście było jego udziałem. Siedział cztery razy w kazamatach, z czego trzykrotnie w Zamościu, raz był skazany na Sybir, raz na powieszenie. W Zamościu odbywał karę z śp. X. Stanisławem Brzoską, X. Florentym Licken-

dorfem, kan. Bojarskim i z wielu innymi. Żarliwy zapał dla sprawy kieruje z biegiem wypadków jego kroki na pole orężnej walki. Chwyta tedy za broń i walczy w Lubelskiem pod dowództwem pułkownika Wierzbickiego, przy boku którego sprawuje funkcye oficera sztabu. Z całym zaparciem spełniał Rayski najniebezpieczniejsze zlecenia, które z pomyślnym wynikiem wykonywał wśród trudnych nadzwyczaj warunków, idąc nieraz na śmierć pewną, której jedynie, dzięki przytomności umysłu, uniknąć zdołał. Z wiosną 1864 r. musiał Rayski przejść granicę austryacką, a przytrzymany przez żandarmeryę, osadzony został w twierdzy w Ołomuńcu, następnie w Telczu, skąd zdołał umknąć z innymi towarzyszami wspólnej doli.

Tak rozpoczął się przed Rayskim nowy okres życia, przeważnie ciężkich przejść na emigracyi, zaprawianych nieraz skrajną nędzą, która twardo go doświadczała, uczyła praktycznej strony życia. Przez Bawaryę i Szwajcaryę dąży Rayski do Paryża, gdzie staje niemal bez grosza, nie upada jednak na duchu, ale chwyta się ciężkiej pracy, wśród której przejścia rodzinne niby taranem uderzają o studzianieckiego dziedzica. Pracuje tedy na życie, spełniając twarde posługi u introligatora, pomocnika palacza w fabryce emalio- wanych i rytowanych szkielek. do czasu, w którym uzyskuje odpowiednią posadę w „Spółce dróg

żelaznych zachodnich“, gdzie pracował w charakterze geometry, przeprowadzał pomiary katastralne i niwelację gruntu pod budowę linii kolejowych. Zajęcie, licho nagradzane, przerywa wojna francusko-pruska, podczas której Rayski „tułał się na tułactwie“, a gdy przeminęła, pracuje jako agent handlowy wielkiej fabryki mydła w Marsylii, doprowadzając to przedsiębiorstwo do wielkiego rozkwitu. Przeniósłszy się do Paryża, zakłada wspólnie z żoną najpierw na małą skalę zakrojoną pracownię robót artystycznych i haftów na kanwie, którą to fabrykę do tego stopnia potrafił rozwinąć, iż stała się ona, z cyfrą 300 pracownic, w niej zatrudnionych, największym przedsiębiorstwem tego typu na całym świecie, zyskała liczną klientelę w pierwszorzędnym magazynach miejscowych i rynki zbytu poza Paryżem. Rozrost tak piękny swej fabryki, która zyskała wiele odznaczeń i uznania światowych wystaw, zawdzięczali Rayscy wspólnej swej pracy: on wziął na swe barki cały ciężar administracji tak wielkiego przedsiębiorstwa, ona, skrzętna i pilna pracownica, objęła kierownictwo techniczne i w ten sposób wspólnymi zabiegami doprowadzili do tego, iż uważano Rayskiego w Paryżu za pierwszego fabrykanta haftów artystycznych.

Nie zasklepił się jednakowoż Rayski w swej artystycznej pracowni, przeciwnie, poza swym żmudnym zawodem zdolał rozwinąć ożywioną

działalność na polu społecznym i niwie literackiej, przyczem dom jego w Paryżu był płomiennym ogniskiem życia polskiego na emigracji w stolicy francuskiej.

Pracę społeczną rozpoczyna w Paryżu już w r. 1864, powołując do życia z kilku innymi „Towarzystwo Pracujących Polaków“, któremu przewodniczył przez szereg lat z wielkim dla jego rozwoju wynikiem. W piętnaście lat później w nielicznym gronie zawiązuje „Towarzystwo Wzajemnej pomocy franc. podróżujących handlowych“, które wzrosło z czasem do cyfry około 30 tysięcy członków. W szerokich ich kołach zyskał Rayski, jako zastępca przewodniczącego i długoletni administrator, ogólną sympatyę i szczere, serdeczne uznanie, któremu Rada nadzorcza tego Towarzystwa dała wyraz na uroczystym posiedzeniu w d. 21 maja 1909 r. odznaczając go medalem złotym za zasługi, jakie położył około jego rozwoju. Określał je niejednokrotnie w szeregu artykułów miesięcznik, wydawany przez ten potężny dzisiaj syndykat, pełen wyrazów wdzięczności za pracę emigranta Polaka, drgający nutą serdecznego żalu w chwili jego śmierci.

Pozostawia po sobie Rayski bogatą puściznę literacką, na którą się składa długi szereg dzieł, przeważnie powieściowych oraz artykułów dziennikarskich, drukowanych w pismach polskich. Do jednego ze swych przyjaciół tak o nich pisze:

„Wszędzie charaktery są szlachetne, bez nieprawdopodobnych namiętności, bez anielenia się w obłokach lub tarzania się w wyuzdanych scenach. Bombarduję uczuciami szlachetnymi a zdobywam miłością, bo miłość jest, według mnie, najsilniejszym bodźcem czynów ludzkich, najskuteczniejszym czynnikiem społecznym, najtrwalszym węzłem“.

Powieści Rayskiego są nieprzebraną skarbnicą różnorodnych poglądów, często nadzwyczaj trafnych, zdrowych i rozsądnych. Niby na kanwie, z fabryki swej ujętej, haftuje autor z rzadką mistrzostwami swe zapatrywania na rozmaite kwestye, przyczem w każdej niemal myśli dźwięczy głęboka miłość dla tak oddalonej, a tak bliskiej mu Ojczyzny, dla której pragnąłby pozyskać jak najszersze rzesze rodaków na obczyźnie. Powieści swe drukował Rayski w znacznej części w „Zgodzie“ amerykańskiej, której długoletnim był współpracownikiem. W tym organie Związku Narodowego Polskiego pojawiła się też najlepsza powieść Rayskiego: „Krwawa zgoda“, którą autor nazywa „piastowskim lipcem z polskiego serca“. Za płodną ową działalność literacką mianował go Sejm Związkowy członkiem honorowym, a rząd centralny stwierdził ową uchwałę osobnym dyplomem i przesłaniem mu złotej szpilki związkowej, bo jak zaznaczył jeden z mowców:* „nie znam

* Akt Związku Nar. Pol. z 27. X. 1887.

w całej Europie nikogo, któryby więcej i to tak bezinteresownie zajmował się sprawą organizacyj naszego wychodźstwa, zrozumiał ją tak dokładnie i pracował dla niej z takim zapałem. Niema związku, któryby go nie znał z jego pism, które remi bezpłatnie nas wspomaga...“

Brał Rayski czynny udział w życiu emigracji polskiej w Paryżu. U siebie w domu dał przytułek emigrantowi z r. 1830, Sylwestrowi Staniewiczowi i domu swego gościnne podwoje na ścieżaj otworzył rodakom, którym nieraz prawdziwą, pomocną był ostoją. Pracował dla sprawy piórem, porywał żywym słowem, przykuwał i jedną ich dla siebie sercem gorącym i wrażliwym, oddanem niepodzielnie wszystkiemu, co wielkie, piękne i wzniosłe. W listach swych z obczyzny marzył ciągle o powrocie do kraju, o gorącej chęci zaszczerpienia na jego gruncie tej gałęzi przemysłowej, którą w warunkach sprzyjających do takiego doprowadził rozwoju.

I nie towarzyszył mu ten rozwój do ostatnich dni życia, przeciwnie w ostatnich latach popadł w skrajną nędzę. Złożył się na nią pewien zastój w handlu haftami kościelnymi w chwili rozdziału kościoła od państwa we Francji i słaby popyt za wyrobami tego rodzaju, nie bez wpływu na materialną ruinę zacnego emigranta było bankructwo dwóch banków, które go przyprawiły o stratę około stu tysięcy franków, na taką sumę

nadużył jego zaufania „przyjaciela“, dyrektor jednego z banków paryskich. „Doszczętna ruina na zgrzybiałe lata wisi ponad głowami naszymi“ — pisze Rayski w jednym z ostatnich swych listów z obczyzny, a gorycz wielka przebija z tych słów, które kreśli na kilka miesięcy przed śmiercią — „straty rujnują nas na starość i zagrażają zajęciem i sprzedażą publiczną posiadanych resztek. Chleba może nam braknąć na dzisiaj, na jutro zgrzybiałel...“

Te troski i kłopoty ostatnich lat podkopały jego zdrowie, na które coraz bardziej zapadał i gasł stopniowo do chwili, w której śmierć w d. 19 sierpnia 1911 r. położyła kres jego dzielnemu, pracowitemu i zacnemu życiu.

Emigracja paryska i całe społeczeństwo polskie straciło w śp. Rayskim prawego obywatela, zacnego patriotę, żarliwego a niestrudzonego działacza na tyłu różnorodnych polach działalności, na której wybitne jego zdolności, głęboka, do największych ofiar zdolna miłość Ojczyzny, gorąca chęć jej niecenia wśród rodaków na obczyźnie — wybitne, niecodzienne musiały wycisnąć piętno. Czcił posiwiąłego w pracy narodowej starca rodacy z tej i z tamtej strony oceanu, szanowali Francuzi, którzy mu rzadkich nie szczędzili odznaczeń.

Ostatniemu życzeniu tułacza, wyrażonemu często w listach z obczyzny, staje się obecnie

zadość. Życzeniem tem było pragnienie, by jego „Karta z powstania styczniowego“* mogła w niezmienionej formie dotrzeć do chat wiejskich, które tak bardzo ukochał, by przyjaciel jego i druh zacny z powstania, Paweł Parada w półwiekową rocznicę ostatniej walki o niepodległość mógł do nich przemówić gorącymi słowami i czynem swoim.

* Epizod ten z ostatniej walki o niepodległość pt.: „Społem a zgodą“ — Kartka z dziejów ostatniego powstania narodowego 1863/4 — od dłuższego czasu pozostawał w rękopisie. Pracę swą odczytał Rayski na Walnym Zlocie „Sokoła“ polskiego w Paryżu w styczniu 1910 i poświęcił ją L. Krzemienieckiemu, z którym w dłuższej pozostawał korespondencyi.

Na wiosnę 1863 roku, jako jeden z oficerów przy-
bocznych naczelnego dowódcy prawego Po-
wiśla tj. województwa lubelskiego i podlaskie-
go, zostałem wysłany z rozkazem ku granicy galicyj-
skiej do wchodzących w powiat zamojski nowo
utworzonych oddziałów lub rozbitków, by czem-
prędzej przeszły w miarę możliwości jak najdalej
w głąb lubelskiego województwa. Oddziały po-
wstańcze bowiem, które po przejściu granicy za-
raz rozbiły obozy i wałęsały się w pobliżu niej,
łatwo wpadały w ręce Moskali, którzy je wy-
pierali do Galicyi ku pewnemu zadowoleniu nie-
których powstańców, słusznie zwanych „uciek-
nierami“.

Wojska moskiewskie pod głównodowodzą-
cym generałem Chruszczewem z Lublina roz-
dzielone były na dwa korpusy, z których jeden
pozostawał pod kierunkiem miękkiego a niezbyt
uzdolnionego generała kawaleryi Baumgartena
w Krasnymstawie, drugiemu przewodził bardzo
sprytny, dziarski i wielce ruchliwy generał Ema-
nów, kozak nader uzdolniony do t. zw. party-
zantki. Ci dwaj generałowie mieli pod swymi
rozkazami pułkowników: Miednikowa, który po

bitwie pod Zawichostem spalił z rozmysłu duży
folwark wraz z licznymi rannymi tudzież służbą
religijno-lekarską — oraz tchórza a dzikiego kata
Biedraga, wychowanka korpusu paziów carskich,
przezwanego przez oficerów i własnych żołnierzy
„brodiagą“, a przytem jeszcze dwóch — często
nietrzeźwych — kozackich pułkowników Enochina
i Utkina.

Było niestety i dwóch majorów, którzy okryli
się wieczną hańbą i przekleństwem całej Polski,
Polaków, nie żądających, w myśl zezwolenia rządu
rosyjskiego, przeniesienia służbowego w głąb Ro-
syi. Zostali też, by mordować w powstaniu swych
braci, a zwali się: Władeczyk, Litwin z rodu, oraz
Mroczkowski z Wołynia, wreszcie podporucznik
Kamieński, który zmienił wiarę, łotr, dobijający
rannych, a przytem tchórz wielki i kilku innych.
Pierwszy w haniebny sposób umknął wraz z od-
działem, złożonym z batalionu piechoty, sotni ko-
zaków i dwóch armat, gdy mu dzielny pułkownik
W. Wierzbicki wydał pod Polichną zaczepną bi-
twę. — drugi taksamo postąpił w bitwach pod
Panasówką i Batorzem. Nadmienić należy, że Mo-
skale pogardzali nimi z powodu tej ich służby
przeciw własnym braciom.

Naczelną dowódca prawego Powiśla wysłał
mnie w podanym powyżej kierunku z tej przy-
czyny, ponieważ znałem znakomicie całą okolicę
tak, że mógłbym nocą bezpiecznie przeprowa-

dzać oddziały, nadto miałem mapy sztabu generalnego tych województw, w końcu, jako były młodszy adjutant generała L. Mierosławskiego, nawykłem nieco do partyzanckiej wojaczki.

Dla większej pewności i bezpieczeństwa przybyłem w cywilnem ubraniu bryczką pod miasteczko Goraj, w którego najbliższej okolicy w lesie obozował i zażywał wypoczynku dość duży, niezle uzbrojony, a i nieco wyćwiczony oddział Czerwińskiego, którego zawiadomiłem o mem posłanictwie i rozkazie. Po przeprowadzeniu sądu doraźnego na jakimś słudze czy pisarzu sądowym z Kraśnika, przytrzymanym z dowodami zdrady, do której się przyznał i po wykonaniu wyroku, skazującego go na powieszenie, odprawił w obozie mszę św. czcigodny proboszcz z Goraja, X. Chyliczkowski, udzielił ogólnego rozgrzeszenia całemu oddziałowi w chwili, kiedy spodziewano się nowego boju. Wkrótce zwinęto obóz i w bojowym ordynku przez Radzięcin, dziedziczną włość p. Krzyciejewskiego i Kuszabiny doszedł oddział do Kątów, gdzie stanął obozem w parku, wokoło pięknego, pysznego pałacu.

Juliusz Puchała, dziedzic dóbr Kąty pod Frampolem oraz Zaklikowa, Żdziechowiec, Trzydnika i Ireny pod Zawichostem, potomek wojewodów i kasztelanów, syn sławnego kapitana konnej artylerji gwardji Napoleona I., gorący patriota-obywatel, ugościł oddział serdecznie wraz ze swą mał-

żonką, Albiną z Rosenwerthów z nad Buga, a bratanicą dziedzica sąsiednich dóbr Smoryń, Kazimierza, którego dwaj synowie Włodzimierz i Witold po znamienitych pracach w przedpowstańczej organizacyi spiskowej poszli w szeregi, aby spełnić obowiązki prawych synów Polski.

Ponieważ w tej chwili nie miałem wierzcho-wca, więc zacny Puchała ofiarował mi doskonałą klacz karą „Leopoldówkę“, a oddziałowi dwa furgony, z których każdy w zaprzęgu miał dziarską parę koni dla przewozu żywności, wydanej ze spiżarni, a na kilka dni wystarczającej. Puchałowie byli zawiadomieni o nadciąganiu oddziału, przeto przygotowali obiad tak dla szeregowców, jak i oficerów.

Nadmieniam przytem, że gdyby wszyscy obywatele ziemscy podobnymi byli patriotami i takim owiani poświęceniem, jak zacny Juliusz Puchała, u którego był tajemny skład broni, ładunków i odzieży, to zapewne niejednen zrujnowałby się, jak ów mąż czcigodny — ale powstanie byłoby może pomyślniejszy wzięto obrót. A przecież ten człowiek był mężem i ojcem kilkorga dzieci, a mimo tego poświęcił wszystko dla ojczyznej sprawy.

Nagle dały znać podjazdy i placówki, że duży oddział nieznanej piechoty zbliża się ku pałacowi, wobec czego wyszliśmy wszyscy za naczelnikiem, który naszemu oddziałowi kazał stanąć



125319

pod bronią. Rzeczywiście wśród podziwu ujrze-
liśmy kilkuset chłopów, wchodzących miarowym
krokiem czwórkami, uzbrojonych znakomicie w sil-
nie osadzone kosy. Na ich czele szedł dzielny,
dziarski, zwinny trzydziestokilkuletni chłop, dzie-
rżąc w dłoni powiewający sztandar z Matką Bo-
ską Częstochowską z jednej strony, a z drugiej
Białym Orłem i Pogonią litewską i rusińskim Ar-
chaniołem, a wizerunki te z obu stron umieszczone
były na środku tkanin jedwabnych — białej od
drzewca i amarantowej, w lewej zaś ręce dzie-
rżył i wstrząsał gołą szpadą.

Serdecznie zdziwiony, poznałem zacnego pa-
tryotę w siermiędze, który w tej chwili wydał mi
się Bartoszem Głowackim z pod Raławic, bo też
Paweł Parada naśladował istotnie Bartosza w Lu-
belskiem. Gdy dzielny jego batalion zbliżył się do
naczelnika Czerwińskiego, gromko krzyknął Pa-
rada:

— Zwrot w prawo! w miejscu! broń na ra-
mię! Stój! — co też doskonale zostało wykona-
ne. Parada natychmiast podszedł do naczelnika,
skłonił sztandar oraz szpadę i śmiało przemówił
w te słowa:

— Wielmożny naczelniku! Oto nieco więcej
jak czterystu chłopów z ordynacyi zamojskiej
sprzysięgło się oddawna i poleciło mi, bym ich
przyprowadził przed was, wielmożny naczelniku!
Adyl dla Boga retyl! toć ja widzę oto tu

Bogu dzięki — naszego kochanego sokoła!... na-
szego jegomościa z Raju!... adyl!... Jegomość
kończcie ta za mnie tę gwarę tak łącno i gorąco,
jak to wam zawdy przychodzi!

Kończąc te słowa z wyciągniętymi ramionami
skoczył ku mnie i uściskaliśmy się serdecznie, po-
czem już ja dokończyłem:

— Naczelniku! ten zacny gospodarz rolny,
nasz brat i prawa ręka przed powstaniem, Paweł
Parada, sołtys z Godzisz pod Janowem, mąż
i ojciec czworga drobnych dzieci, wszystko zo-
stawił opiece Bożej, a zebrał ten oto dzielny ba-
talion ze swych zacnych sąsiadów i przyjaciół,
aby spełnić święty obowiązek obywatelski dla
naszej uciemnionej Ojczyzny!

— Ba! ino!... to się wie!... cośwa przyszli
karno, aby kosić łby moskiewskie na poczekaniu,
aż tam nasze zboża dojrzeją, — tak mi śmiało
i wesoło przerwał Parada, a widząc, że naczelnik
się uśmiecha dodał:

— Jeno co nie ja tu między tymi kosynie-
rami naczelnikiem, ale oto major Władysław X.,
sławetny nasz dziaduś! — I sztandarem wskaza
na silnej budowy a bielutkiego, krzepko z kosą
stojącego starca, odzianego w wieśniaczą sukmanę,
jak wszyscy inni.

Czerwiński, nieco zdziwiony, zażądał wyjaśnie-
nia. Otóż ów, dziaduniem zwany Władysław X.,
był zamożnym właścicielem wielkich dóbr i byłym

oficerem 4 pułku piechoty Bogusławskiego w roku 1830. Chociaż wprawdzie opierał się i odradzał powstania, ale gdy wybuchło, stanął pod bronią, jako prosty żołnierz z trzema już dobrze szpakowatymi synami i siedmiu wnukami i pomimo różnych bitew wszyscy po dobrowolnem rozprószeniu prawie dziesięcioletnich dzielnych powstańców Langiewicza przeszli na drugą stronę Wisły i tu na prawe Powiśle przybyli wymusztrowani przez swego ojca i dziadka.

Dziadek Władysław nie chciał w żaden sposób przyjąć nad nimi dowództwa, lecz zażądał, aby naczelnik Czerwiński w imię Rządu Narodowego zamianował zanego i dzielnego Pawła Paradę dowódcą batalionu, a jego i synów instruktorami w czterech kompaniach. Naczelnik Czerwiński przed czołem całego oddziału stojącego pod bronią, zamianował Pawła Paradę majorem kosynierów i ponowił rozkaz, gdy Parada począł się wymawiać od przyjęcia tej godności. I wówczas porwał się wśród szeregów okrzyk 420 kosynierów:

— Niech żyje Polska! Niech żyje Rząd Narodowy! nasz naczelnik! nasz major Paweł Parada! wraz z dziadusiem społem!

— Stulła se gęby! — krzyknął Parada — boć ta ja przecież nie żaden heretyk, więc potrafię chwacko być posłusznym starszyźnie, ale jeno wy baczyła se dobrze, jak się patrzy, bo

kiedy taki jest rozkaz Rządu Narodowego i po waszej to myśli i gwoli waszego zechcenia, ano toć ta Matka Boża, Królowa Polski społem z naszymi orłami są tu moimi świadkami przysięgi, iż was powiodę na Moskali tak harno, jak dawniej Bartek Głowacki wiódł ci swoich pod Racławicami. Społem i zgodą!... to też zszadkowali ścierwa moskiewskie na kapustę! Myśmy ta przecie z jednej gromady i zgodnie społem po dobrej woli pośliśwa bronić świętej matki, ziemi ojczyściej. Przeto jużci, że żaden z nas nie spodli się zdradą, coby tam zemną wszędy nie szedł kupą i zgodą! bośwa przecie wszyscy wierni chłopopolacy i mamy szlachtę z nami społem, a ona nas za braci przecież uznała — ręczę wam, a więc to się wie — że wszędy razem pójdziemy harno społem i zgodą! Amen!...

I zakręcił wartko sztandarem ponad głową a hardo stał i patrzył.

— Niech żyje nasz komendant Paweł Parada! — rozległy się echem liczne głosy, a myśmy go serdecznie ściskali.

Czcigodny dziedzic Puchała kazał tymczasem wyjąć ze skrzyń ukrytych 50 czamarek z granatowego sukna i tyleż spodni czerwonych, dalej buty z wysokimi cholewami i małe rogatywki krakowskie także czerwone z pawiami piórkami, co wszystko, jak i inne wojenne przybory, kazał w skrytości wykonać. Więc dał to wszystko, by

rozdać choćby pół kompanii batalionu kosynierów, a zwłaszcza w tej chwili przybyłym kilkunastu dzielnym parobczakom z jego dóbr. Każdy z kosynierów pozostałe mundury chciał dla siebie pozyskać. Wszczęła się niesforna wrzawa, aż dziaduś Władysław musiał się zająć ich rozdaniem i to dla wybranego przez się plutonu gwardyi kosynierów zamojskich, obowiązanych za to iść na czele do boju — na co chętnie i z zapałem ci wybrani przystali, a nawet zaprzysięgli.

Byliśmy też tem wszyscy mile zajęci, aż zacy Puchała do mnie się zwrócił z oznajmieniem, że już od pół godziny czeka na mnie posłaniec ze Studzianek z listem od żony. Odwróciłem się szybko i ujrzałem Wawrzka Kozicę, syna jednego z naszych gospodarzy, który był nader zręcznym parobczakiem przy naszym dworze. Ten, skoro mnie ujrzał, zbliżył się szybko ku mnie a skłoniwszy się rzekł:

— Proszę łaski Dziedzica! mam tu pisanie od jejmości naszej dziedziczki, ale tani u nas wszyscy i obaj mali panicze są zdrowi i mocni, Bogu dzięki, to też się tam nie spieszyłem wściubić w garść jegomością to oto pisanie, bo tam w niem są — mnie się widzi — też same nowiny, jakie tu z gęby mi wyszły. — Oddał mi list od żony, a zwróciwszy się nagle, uchwycił za kolana zacnego Puchałę tak zwinnie a silnie, iż go omal nie przewrócił i szeptał błagalnie:

— Niechta już jasny jegomość u mego Pana dziedzica wyprosi pozwolenstwo, cobym już raz przecie kosynierem tu został toć i ja tam też nie kiepski chłop polski! a mam ci silną garść do kosiska, aby szadkować łby tych moskalisków!... A wolęć z pozwolenstwem i po dobrej woli mego p. dziedzica. jak tam sromotnie w nocy uciekać do obozu, a ino!...

Puchała zapytał mnie po francusku, co ja na to powiem, odrzekłem, że się zgadzam. Wawrzek, chociaż nie zrozumiał, ale z twarzy mej odgadł, więc dziękował serdecznie, zwinnie skoczył ku owym mundurom, porwał kilka sztuk i chciał z nimi uciekać do gumien, aby się przebrać. Z trudem prawie odebraliśmy mu mundury. Puchała kazał przymierzyć mu strój i wybrać według miary, Wawrzek skoczył zatem w gęsto porosły klomb i tam w mgnieniu oka przebrał się i wyszedł dumny, niemal promieniejący; podszedł szybko do małej, kamiennej sadzaweczki, położonej w środku dużego klombu i z przyjemnością w zwierciadle jej się przeglądał. Był szczęśliwy... W nocy z Kątów wysłano mój list do żony.

Nazajutrz wczesnym rankiem od strony czat, od biłgorajskiego lasu, nadjechał oddział obcej konnicy. Był to pluton strzelców konnych i ułanów pod dowództwem dzielnego porucznika Włodzimierza Różyckiego, który zebrał rozbitków. a jako człowiek rozważny a ofic. r zdolny, prze-

kradł się z nimi ostrożnie do Kątów, gdyż p. Puchałowa była jego stryjeczną siostrą, a sąsiednie dobra Smoryń były dziedzictwem jego ojca Kazimierza. Szczęśliwym więc trafem pluton ten, złożony z 54 koni i już ostrzelany, został przyłączony do szwadronu Czerwińskiego wśród wielkiego zadowolenia wszystkich.

Po sutem śniadaniu, przygotowanem dla całego obozu, wyruszyliśmy z tym planem, by przez lasy Kątów i Dylów Sawickiego wejść w okolicę leśną ordynacji zamojskiej, położoną poza Biłgorajem i zwaną Zaborszczyzną i w myśl przezemnie przywiezionych poleceń, dążyliśmy w Hrubieszowskie, by po drodze zbierać resztki rozbitych lub rozprószonych oddziałów.

Kuryerzy, oraz kuryerki przywozili nam rozkazy, wskazówki i wyjaśnienia o ruchach nieprzyjacielskich. Po drodze zaszedł dziwny wypadek. Oto, gdyśmy wyszli z Kątów, przednia straż nasza, wchodząc w las, dała kilka strzałów w kierunku kilku strzelców, cwałujących szybko ku naszemu oddziałowi. Jeźdźcy ci mieli ogromne czapki z baranich skór tzw. papachy, jakie zwykli nosić kozacy kubańscy na Kaukazie. Z okrzykiem: „Niech żyje Polska!“ przypadli do nas osadziwszy konie. Ze zdziwieniem poznałem Zawidzkiego, dziedzica z Maszowa pod Szczepieszynem i Turobinem, syna byłego pułkownika z przed r. 1830. Przybyły, jako oficer moskiewski,

tak umundurował swój pluton dzielnej jazdy i często wpadał w środek kolumn moskiewskich i dużo dzięki swej niezwyklej odwadze szkody wyrządzał. W tym wypadku omal go nie zabito, parę bowiem kul przeszło jego kozacki strój. Wcielono przybyłych chętnie do naszej konnicy, poczem oddział wśród wesołego nastroju postępował na przód. W ciszy rozległa się piosenka:

Hej, ha! — rażno chłopcy,
Hej, ha! — hej! młodźcy,
Pomyrymsia iz z Laszkami,
Pokłonymsia czapoczkami,
Idna dumka — idna sprawa,
Stołyecieju bud' Warszawa.
i t. d.

Kto ne z namy — protiwn nas,
Obwisim jeha sejczas...

Gdy się rozochococono, śpiewano dalej znaną w r. 1831 piosenkę:

Armaty pod Stoczkim zdobywała wiara
Rękami czarnemi od pługą
Magnaci w stolicy palili cygara
Nie pomnąc na braci z za Buga.
O cześć wam... i t. d.

Potem jeszcze porucznik ułanów i strzelców,
W. Różycki ze swymi dzielnymi ułanami śpiewali

moją piosenkę, jaką ułożyłem nieudolnie w kazamatach dla zacnych kolegów księży: Brzoski i Likendorfa oraz dla sędziego Lubowickiego, dzielnych polskich męczenników:

— — — — —
— — — — —

Oj! mój Jezu! mój kochany,

Oj! gdyby te nasze Pany

Za braci nas raz uznali

Serca z życiem byśwa dali.

Lecz nie żartem możne Pany;

Chłop bo kocha — gdy kochany,

Chłopska miłość prosta, szczerą,

Bez niej to Polska umiera.

Chłopska miłość a serdeczna

Do szczęścia Polski konieczna,

Bo bez niej szlachta-nieboże,

Niemców, Moskali nie zmoże.

Boć to Moskal dziki przecie

Choć o pokrewieństwie plecie

Chyba przez to, że w Warszawie

W naszej krwi się kapał żwawie.

Porąbał nam Jezusienka!

Toć i Najświętsza Panienska

Roztłuczona przez bestyją!

I bracia w więzieniach gniją.

Litwini, Rusini, Morawcy i Czechy

Bułgarzy, Chorwaty, Serby jak i Lechy

Wszyscy z rodu słowiańskiego

Nie mają nic moskiewskiego. i t. d.

Potem jeszcze śpiewali znaną i śpiewaną we wszystkich oddziałach powstańczych piosenkę:

Poszły panny na śliwce — na śliwce — na śliwce
Spotkały ich myśliwce — myśliwce dwa!

Szczególniej wesoło rozlegał się śpiew wśród wywijania czapkami lub bronią, gdy oddział przechodził przez wsie i miasteczka. Mieszkańcy wychodzili z domostw, u wielu łzy w oczach było widać, a prawie wszyscy wciskali w kieszenie szeregowców rozmaite dary, jak tytoń, cygara i artykuły żywności, a byli tacy, co i pieniądze w garść wciskali, ale powstańcy mieli surowy zakaz przyjmowania takich datków z tej przyczyny, by się do nich nie przyzwyczajali i by niechętni czy wrogowie nie uważali tego za grabież.

Wesoły nastrój w oddziale był wprost nadzwyczajny, niktby też nie przypuszczał, że ci Polacy bez broni i ładunków idą na niezrównany bój śmiertelny dla wyswobodzenia Ojczyzny. To też mnóstwo znanych w całym kraju z piękności Biłgorajank odskakiwało od tkania sit i przetaków i serdecznie, ze łzą w oku, żegnało najbliższych powstańców — czego zazdrościła im bardzo konnica, której wysokość koni tej miłej chwili pozbawiała. Niedaleko za Biłgorajem pod Krasnobrodem oddział zanocował i tam też przyłączyły się resztki z oddziałów Zielińskiego, Jankowskiego i Żalplachty.

Wieczorem stanęliśmy obozem pod miasteczkiem Tyszowcami w pogotowiu bojowym, bo mieliśmy wrażenie, że nazajutrz zaczepią nas nad-

ciągający od strony Zamościa nieprzyjaciele. Rzezywiście też zaraz po połowej mszy św., odprowionej o wschodzie słońca, gdy kapelan całemu oddziałowi ze skrucną klęczącemu dawał ogólne rozgrzeszenie, nasze pikiety, czaty i placówki zaczęły się ostrzeliwać w kierunku Zamościa, a z lewego naszego skrzydła odrazu ze wzgórką zażrzmiały armaty. Była to druga kolumna nieprzyjacielska, postępująca w tropy za nami i rozporządzająca lekką kozacką artylerją.

Musieliśmy się zatem bronić z dwóch stron jak gdyby w prostokącie. Prawe nasze skrzydło bezpieczne opierało się o duży, szeroki staw, podczas gdy piechota tych Moskali, którzy za nami gonili wskutek jazdy wozami, niezmeńczona, uszykowawszy się zaczęła na nas nacierać.

Nagle Czerwiński zwrócił się do mnie i zażądał, abym pocwałował do kosynierów, zażrzał Paradę i rzucił go z batalionem czołem a pluton konnicy Włodzia i drugi za nim ze skrzydła ukosem na baterję kozacką i ją w ten sposób, jeżeli nie zabrać, to choćby zniewolić do ucieczki lub zmiany stanowiska, — bo chociaż nam nie szkodziły ich pociski, ale ten piorunujący huk, szybki a nieustanny, połączony z drgnięciem ziemi i echem po rosie nader denerwował naszych rekrutów, a strzały karabinowe, chociaż nieco szkodliwsze, nic ich nie drażniły.

Oddałem rozkaz kosynierom, którzy przez przezorność dziadunia Władysława leżeli pokotem w szyku bojowym na pochyłości wzgórzka. Z polecenia dziadunia Parada kazał im powstać i gdy już mieli ruszyć naprzód w tem zagięciu pola, artylerzyści spostrzegli ten manewr i poczęli ku nim strzelać granatami. Dzielny dziadunio uspokajał ich i zachęcał, by się nie przestraszali, a jednocześnie prawidłowo szykował cztery kompanie do ataku, który miał do przebycia odległość tysiąca kroków. Nagle zadrgało coś nademną i huk przepłynął tuż obok. Klacz moja spięła się i nagle stanęła dęba drecząc na miejscu. To granat pękł tuż za nami.

Dziadunio spojrział ku baterji i krzyknął:

— Kładź się pokotem!

Większa część kosynierów przypadła do ziemi w tej chwili, gdy zażrzmiały nowe strzały i wśród huku poczęły pluskać po stawie. Były to granaty, szrapnele i kartacze...

Nagle dziadunio Władysław chwycił się w pół i usiadł. Był niestety ranny odłamkiem granatu, ale zapewniał, że to nic nie jest, mówił, że to tylko błahe zadrażnienie.

Major Parada zbliżył się ku mnie i z uśmiechem rzekł te słowa:

— Ej! Jegomość! panie z Raju! zejdzta ze

szkapy, bo widno służycie za cel tym psubratom i oni pragną cię posłać w czeluści wieczne...

Znowu padły nowe strzały, rozprysły się naokół i padło na ziemię dwóch kosynierów, którzy pomagali synom i wnukom podnieść i przenieść z pod linii rannego ojca i dziadka i wśród jęku grzebało nogami.

Nagle ustał huk armat, bo pluton porucznika Włodzimierza na nie z boku dziarsko cwałował, mając w tyle w odległości pewnej postępujący drugi pluton. Wobec tych ataków bateria nie miała zasłony ani w konnicy ni też w piechocie, ustąpiła szybko z pagórka i znikła chwilowo.

Była to pełna tragizmu i rozpaczy chwila. Bohaterski starzec umierał wśród kłęczących synów i wnuków tudzież kosynierów, przed którymi stał major Parada ze łzą w oku i pochylał sztandar nad konającym bohaterem-patryotą. Obok dwaj ranni ciężko kosynierzy oddawali ostatnie tchnienie na ojczystej ziemi, którą tak bardzo chcieli oswobodzić. Dziadunio Władysław słabym, ale jeszcze wyraźnym głosem błogosławił synów, wnuków i cały batalion i zaklinał, by w zgodzie i łączności posłusznymi byli majorowi Paradzie, gdyż tylko przez zgodę i spójność wrócić mogą Ojczyźnie wolność, bo tylko ten sposób wytworzyć może olbrzymią siłę.. Zaczny starzec coraz bardziej tracił siły i bladł, głos słabł mu coraz więcej. Drżącą ręką szukać począł czegoś wokół

szczy i wyciągnął na jedwabnym sznureczku zawieszony złoty krzyżyk i białego, srebrnego orła narodowego. Z drżeniem ucałował je, zakreślił nad otaczającymi go znak krzyża, pocałował nachylony sztandar. Długa, siwa broda oparła się o skrwawione piersi, na zsiniałych ustach ukazała się krwawa piana. Uniósł jeszcze ociężałe powieki, westchnął raz ostatni i zgasł a duch jego uleciał swobodnie nad tak brutalnie ciemzoną i w dziki sposób nękaną ziemię ojczystą.

Po chwilowem milczeniu porwał się wśród szeregów jęk, a jakiś wysmukły młodzieniec zawołał:

— Jeszcze nie zginęła! — gdy za nią tacy bohaterowie umierają.. Bracia! pomścimy ich razem wszyscy!. Naprzód!..

— Hola! — suchym głosem rzekł Parada — „pomódlmy się za nich i do tych świętych męczenników! za naszą, świętą wolność!.. pójdzmy w bój, by krwawej zemsty wziąć odwet!..

Uklękli wszyscy na chwilę, szeptali słowa modlitwy, podczas gdy Parada nakrył swym sztandarem wszystkich trzech obok siebie leżących męczenników narodowej sprawy i stał przez chwilę, pochylony nad nimi. Podniósł następnie sztandar, otarł kulakiem zażawione oczy i drgającym głosem gromko zawołał:

— Nuże! teraz za mną chłopcy! i wy szlachta.. biegiem za mną.. A teraz spytajmy Matki Bożej,

kula którego z nas położy !.. Za mną!.. Społem i zgodą!

Wstrząsnął szpadą i zaczął biedz szybko po wklęsłej roli ku baterji, którą w tej chwili na przeciwległym pagórku ustawiono. W tej chwili huknęły armaty, nie wyrządziły jednak wśród naszych szeregów żadnej szkody. Kosynierzy na znak bowiem padli pokotem i uszli strzałów. Po małej chwili podnieśli się znowu i niby fala płynęli naprzód i biegli co tchu, raz jeszcze przypadli do ziemi w tej chwili, gdy po sterzczących ich kosach oślizły się kartacze i nad nimi zagrały armaty.

Zerwali się znowu i z żywiołowym wrzaskiem: — „Niech żyje Polska! Jezus, Marya! Śmierć Moskałom“! — I jak huragan, rzucili się na baterję. Szczęknęły kosy, a bohaterska odwaga kosynierów takim strachem przejęła Moskali, że czempredziej z dziewięcioma armatami rzucili się do ucieczki. Po karkach ich jechali dzielni nasi kosynierzy, zabrali trzy armaty i 32 żołnierzy moskiewskich życia pozbawili.

Straszny był to widok! jęk konających Moskali mieszał się w jedno z okrzykiem kosynierów, u których widać było wzrok iskrzący, oczy krwią nabiegłe i piersi, niby miechy falujące. Ponuro wzrok swój kierowali na nieprzyjaciół i dzikie narzędzia carskiej zbrodni.

Wśród kosynierów najzawziętszym był właśnie

ów smukły młodzian, który w chwili skonu działania zawołał: — „Jeszcze nie zginęła!“ — Był to Dowgiełło, a wraz z nim Jan Daraszkiewicz, obaj studenci, którzy pochodzili z litewskich oddziałów, jeden z pod pułownika Bitisa, chłopca żmudzkiego, a drugi służył pod X. Mackiewiczem, ranni w tych oddziałach, po wyleczeniu się wstąpili do naszego. O pierwszym z nich mówił jeden z kosynierów, że jest „lotny i odważny jak orlątko, a odważny i krzepki jak lwiątko“.

Parada tymczasem zatknął tuż obok zdobytych armat swą chorągiew i szpadę, zbroczoną krwią nieprzyjacielską, poczem w te słowa do zebranych przemówił:

— Widzita gdy kupą a w zgodzie wszystko łatwo, jak sanki po lodzie! A i oto na wojnie nie wszystkie kule trafiają... bo i chociaż zabrałiśma tym siepaczom te trzy oto harmaciska, a przecież dzięki Bogu i tej Najświętszej Paniencie, naszej Królowej polskiej, ani jeden z nas przecie żywota nie pozbawion. A chociaż tam kilku z nas ma przedziurawioną skórę lub nieco naruszone gnaty, to się tam to wnet zrośnie prędko, też się o tem i zapomni tak, jak ja zapominam o mojej zadraśniętej nodze i o sukmanie, którą kilka kul przeszyło, bo to iście tak, jakby uszczyptał jakie śwarne psisko. A nasz sztandar też wyniósł z tej zwycięskiej przeprawy dwie dziury od kul, jakie przezeń przeszły. Zawdy będę wam prawil, że

nic nam nie zaszkodzi, gdy razem pójdziemy i gdy hasłem naszym zawsze będzie i na każdym kroku: „Społem i zgodą“.

— Podobało się — ciągnął dalej Parada — Bogu i Matce Najświętszej powołać do swej chwały tych trzech oto męczenników za narodową sprawę, tośmy dla każdego z nich wzięli jedno srogie to harmacisko i za każdego z nich wzięliśmy srogi odwet po tuzinie i zszadkowaliśmy wroga, jak kapustę!.. albo na chwałę Jezusiczka! bo na każdy rok Bożego żywota jednego z nich posłałszy na tamten świat i basta!

Tuż po za leżącymi pokotem trupami nieprzyjaciół spostrzegłem mego Wawrzka, siedzącego na ziemi i spoglądającego smutnym wzrokiem w dal. Przypadłem do niego i pytam:

— Wawrzek! tyś ranny?

— Ba! żeby jeno ranny!.. ale te moskaliska! — Przy tych słowach ściśniętą pięścią groził w powietrzu.

— Co tobie jest mój poczciwy chłopcze? czyś ty chory, może ranny?

— Et proszę jegomości — rzecze Wawrzek — nic tak z tego wszystkiego, przebrzydłe Moskaliska poniszczyły mój strój piękny czerwony. — Tu posypały się z ust poczciwego chłopaka wiejskiego przewiska w stronę sprawcy tak ciężkiej dla Wawrzka przykrości.

— Panoczku mój, to zdaje się ten, co tu

opodał leży, ale też poczęstowałem go porządnie, jednym zamachem kosiska rozplątałem go wzdłuż jak wieprzka, na dwie połowy.

— A więc co ci jest chłopcze? — pytałem ciągle w dalszym ciągu.

— A niech no jegomość spojrz jaką jamę wyszarpnął pod kolaniem w prześlicznych spodniach! — I pokazał mi rzeczywiście miejsce, w którym były one rozszarpane tuż obok kolana, granat musnął je jedynie, nie powodując żadnej rany.

— Co ty pleciesz — rzekłem — a jakby granat był zboczył nieco i strzaskał ci kolano?!

— Ba, toby się ono zrosło, zagoiło wnetka i niktby nie wiedział, ale ten strój przepiękny jak teraz sromotnie zeszepecony! — Uściskałem poczciwego parobczaka, który tak naiwnie zapatrywał się na całą sprawę.

Bitwa pod Tyszowcami była przez nas wygrana i Moskale szybko znikli, a my, nie mając ładunków dla zdobytych armat, utopiliśmy je w stawie po poprzednim spaleniu lawety wraz z kołami. W bitwie tej Paweł Parada zadziwiająco okazywał odwagę i roztropność; po spędzeniu baterii z zajmowanego przez nią stanowiska po czterokroć nacierał na czele bitnych kosynierów, a pędzeni Moskale, wśród głosów błagalnych o pardon, czempredzej znikali. I wszyscy byli tego zdania, że w tej potyczce złożył Parada

dowody roztropnej a męskiej odwagi i że słusznie mu poprzednio godność majora nadaną została.

Tu kilka nasuwa się refleksyi, skupiających się około tej kwestyi, dlaczego Rząd Narodowy nie dozwolił dzielnemu pułkownikowi Wierzbickiemu na tworzenie kilku albo kilkunastu batalionów kosynierów chłopskich, gdy myśl tę rzucił na ich własne żądanie po bitwie pod Polichną, a potem po Żyżynie. Możeby czyn taki zaważył na szali powodzenia ogólnej sprawy.

Po bitwie w dwóch dużych mogiłach pogrzebaliśmy poległych Moskali tych, których towarzysze nie zdołali unieść w bezpieczniejsze miejsce. Jak później dowiedzieliśmy się, Moskale uprowadzili ze sobą znacznieszą ilość poległych, których zakopali w okolicy na ornej roli. Wzruszoną jej skutkiem tego powierzchnię tratowała przez czas pewien konnica, by ukryć mogiłę przed wzrokiem naszym, chociaż nie było ku temu żadnego powodu. W trzeciej mogile pochowaliśmy dwóch kosynierów a wraz z nimi i ukochanego dzia-
dunia.

Po haniebnej ucieczce nieprzyjaciela lekarz oddziału, Dr. Wróbel opatrzył starannie pozostałych pomiędzy nami kilku rannych Moskali i kilku naszych. Pierwszych, mimo że chcieli pozostać w szeregach, wysłaliśmy do Zamościa, naszych za kordon graniczny do Galicyi.

Maszerowaliśmy dalej w głąb Hrubieszowskiego mimo tego, że w okolicy tej szlachta nieprzychylnie była usposobiona dla ruchu powstańczego, a uczyniliśmy to z tej przyczyny, by nie ściągnąć na siebie nieprzyjaciela, który prawdopodobnie jeszcze w większej sile byłby powrócił na miejsce starcia i porażki i wówczas do szczętu oddział byłby rozbity albo uległby zupełnemu rozprószeniu.

Zwycięstwo pod Tyszowcami w pierwszej linii zdziało hasło, które było dla nas przewodniem: „Spółem i zgodą“. Wyrazy te tworzyły dla nas naczelną wskazania zarówno taktyki, jak i strategii wojennej, by jak najsmielej nacierać na wroga, jak to czynić zwykł pułkownik Wierzbicki, naczelnik dowodzący prawem Powiśle i pułkownik Chmieliński z tamtej strony Wisły. I tu pod Tyszowcami, nacierając śmiało i żwawo, nie tylko przeraziliśmy nieprzyjaciela, który miał zbyt wygórowane pojęcie o naszych siłach, ale z drugiej strony, nieustannie postępując naprzód, wypieraliśmy go w tył, a bądź raniąc go celnymi strzałami, odbierając broń i ładunki, znie-
walaliśmy go do cofania się, przyczem zabieranie rannych wielce im pochód utrudniało. Postępowanie tego rodzaju, co prawda, nastęczało wiele trudności, dla nas jednak bardzo było korzystne. Ot oddział Czerwińskiego w lesie pod Gorajem na 840 ochotników posiadał 300 strzelb myśliw-

skich przeróżnego systemu, 13 karabinów gwin-
towanych, dalekonośnych, które były powierzone
celnie strzelającym, reszta uzbrojoną była w duże
dzidy, okute żelaznymi braniakami.

Po bitwie pod Tyszowcami zebraliśmy na
pobojowisku 173 karabiny obok innej broni i jań-
czarek kozackich. Dziwić się nie należy, gdy kiedy
w czasie boju na tyłach znajdujący się tzw. „pał-
kinierzy“ biegli na wyścigi naprzód, aby po pa-
dłym rannym lub zabitym towarzyszu zabrać jego
karabin albo strzelbę i zastąpić w ten sposób
ustępującego rycerza wolności, nieraz też kilku
biegło, jakby na wyścigi, po broń upragnioną. Za-
równo, rzemieślnicy jak i włościanie wszędzie,
gdzie tylko brali udział w wielkiem powstaniu
narodowem, odznaczali się nadzwyczajnem po-
słuszeństwem, wielką odwagą i poświęceniem,
a u niektórych podczas zasadzek zwłaszcza za-
uważyłem pewien nastrój graniczący z rozrzew-
nieniem. Moskale niezmiernie obawiali się chłop-
skiego powstania, które nie przyszło do skutku
mimo, że wśród tych warstw czekano na tę chwilę
z upragnieniem. I to był ten wielki błąd, jaki
zabił powstanie, gdyż tylko gromadnym udziałem
tych dwóch naszych najliczniejszych warstw
społecznych, równouprawnionych i uobywatelo-
nych drogą rozumnej oświaty możemy wywalczyć
wolność naszej narodowej sprawie. Z tej też
przyczyny najświętszym obowiązkiem każdego

prawego Polaka jest jak najszerzej pojęta praca
w rzyszach rzemieślniczych i włościańskich, chro-
nienie ich przed wynarodawianiem, wszczepianie
staropolskich cnót i zalet umysłu i serca. W ten
sposób pojęta robota nietylko na polu oświato-
wem, ale także i na ekonomicznem, podciągnię-
cie tych warstw do rzędu współobywateli, ochron-
je w przyszłości od niebezpieczeństw, jakie z wielu
stron się piętrzą w dążeniu, by warstwy te po-
zbawić wiary i narodowości, a potem, gdy znisz-
czone zostaną te najważniejsze podstawy jestestwa
całkiem je dla siebie pozyskać.

Dla oswobodzenia ziem naszych iść win-
niśmy razem i karnie. We wszelkiej choćby naj-
drobniejszej pracy przyświecać nam winno to
hasło, jakie przewodziło kosynierom Pawła Pa-
rady: „Społem i zgodą“. Te hasła społeczeństwu
naszemu a zwłaszcza młodzieży naszej przeka-
zują, ja stary Mierosławczyk i ostatni z jego przy-
bocznych oficerów. Zapewniam, że w ten sposób
pracując „Społem i zgodą“, szanując dzieje na-
sze, pełne świetności, wiarę, mowę, cnoty i oby-
czaje odzyskamy naszą Ojczyznę tak, jak odzy-
skali Włosi, bo umieli karnie hołdować tym za-
sadam. Ten okrzyk zwycięski Pawła Parady,
dzielnego chłopca kosyniera, jak pięknie świecił
w przeszłości naszej tryumfy, gdy na czele huf-
ców zbrojnych szły dzielne króle nasze i potężne

hetmany, niosąc szeroko po świecie sławę polskiego oręza.

Weźmy zatem okrzyk Pawła Parady za hasło nasze, z posiewem myśli zdrowej idźmy w lud wiejski i rzeszę rzemieślniczą, pełni braterskiej miłości, a wówczas przy naszych przymiotach, gdy uobywatelimy i równouprawnimy wszystkie warstwy, ziszczą się może słowa poety: „że jeden tylko jeden cud, z polską szlachcą polski lud“!

W końcu zwracam się do Was, kochany zastępie sokoli, na ziemi osiadły dalekiej od ojczy-
stych rubieży. Lećcie chyżo w myśl wskazań
chłopa Parady ku obywatelskim obowiązkom
i najwznioślejszym celom, niby zaciężni szkoły
podchorążych z Listopadowej nocy lub Mierosław-
czycy lub wreszcie młodź z Cuneo, liczniejsi
i pełni zrozumienia sprawy, unikajcie błędów
tamtych popełnionych, wyciągajcie myśl zdrową
z rzeczy każdej, w bój, który oby był ostatnim!—...
zwycięskim, a do tego trzeba przedewszystkiem
hasła Pawła Parady:

— Społem a zgodą!
by udowodnić światu, że „Jeszcze Polska nie
zginęła“!



125319